

KATOLICKI UNIWERSYTET LUBELSKI
INSTYTUT JANA PAWŁA II

PRZEKROCZYĆ PRÓG NADZIEI

JAN PAWEŁ II
odpowiada na pytania Vittoria Messori

REDAKCJA WYDAWNICTW
KATOLICKIEGO UNIWERSYTETU LUBELSKIEGO
LUBLIN 1994

RW KUL

Ostatecznie tylko Bóg może człowieka zbawiać, oczekując jednak jego współpracy. Człowiek może z Bogiem współpracować, co stanowi o jego wielkości. Prawda, że człowiek jest powołany do współdziałania z Bogiem we wszystkim ze względu na ostateczny cel swego życia, czyli zbawienie i przebóstwienie, znalazła wyraz w tradycji wschodniej pod postacią tak zwanego *synergizmu*. Człowiek „współtworzy” z Bogiem świat, człowiek „współtworzy” z Bogiem swoje własne zbawienie. Przebóstwienie człowieka pochodzi od Boga. Ale również i tutaj człowiek musi z Bogiem współdziałać.

30.

■ Jeszcze raz wspomniał tu Ojciec Święty o godności człowieka. Obok praw człowieka, zakorzenionych w godności osoby, jest to jeden z centralnych i stale powracających tematów obecnego Pontyfikatu. Na czym polega według Ojca Świętego godność człowieka i czym są autentyczne prawa osoby ludzkiej? Czy są one tylko pewną koncesją ze strony rządów, państw? Albo też czymś zasadniczo głębszym i odmiennym?

W pewnym sensie na to, co stanowi problem centralny Pańskiego pytania, już odpowiedziałem: „Co jest godnością człowieka, czym są prawa człowieka?” Widać jasno, że owe prawa człowieka są wpisane w porządek stworzenia przez samego Stwórcę, że nie może tutaj być mowy o koncesjach ze strony ludzkich instytucji, ze strony państw czy organizacji międzynarodowych. Instytucje te wyrażają tylko to, co Bóg sam wpisał w stworzony przez siebie porządek, co sam wpisał w ludzką świadomość moralną lub w ludzkie serce, jak to wyjaśnia św. Paweł w Liście do Rzymian (por. 2, 15).

Ewangelia jest najpełniejszym potwierdzeniem wszystkich praw człowieka. Bez niej można bardzo łatwo rozminąć się z prawdą o nim. Ewangelia bowiem potwierdza ten Boży zapis, który warunkuje porządek moralny wszechświata, potwierdza go w sposób szczególny przez sam fakt Wcielenia. Kimże jest człowiek, skoro Syn Boży przyjmuje ludzką naturę? Kimże musi być człowiek, skoro tenże sam Syn Boży płaci najwyższą cenę za jego godność? Rokrocznie liturgia Kościoła wypowiada głębokie zadziwienie nad tą prawdą i nad tą tajemnicą, zarówno w czasie Bożego Narodzenia, jak i podczas Wigilii Paschalnej. „*O felix culpa, quae talem ac tantum meruit habere Redemptorem*” (O, szczęśliwa wino, skoro ją zgładził tak wielki Odkupiciel!; *Exultet*). Odkupiciel potwierdza prawa człowieka przez to, że przywraca mu pełnię godności, jaką otrzymał przez sam fakt stworzenia na obraz i podobieństwo Boga.

Skoro Pan poruszył tę sprawę, to niech mi wolno będzie wykorzystać Pańskie pytanie do tego, ażeby przypomnieć, w jaki sposób ten właśnie problem stawał stopniowo w centrum moich także oso-

bistych zainteresowań. Było dla mnie poniekąd wielkim zaskoczeniem, kiedy stwierdziłem, że te zainteresowania dla człowieka i jego godności stały się wbrew przewidywaniom głównym tematem *polemiki z marksizmem*, a to dlatego, że marksiści sami postawili sprawę człowieka w punkcie centralnym. Kiedy po wojnie doszli do władzy w Polsce i zaczęli sobie podporządkowywać nauczanie uniwersyteckie, z początku można było oczekiwać, że program materializmu dialektycznego, który oni z sobą przynosili, wyrazi się przede wszystkim poprzez *filozofię przyrody*. Trzeba przyznać, że Kościół był w Polsce do tego również przygotowany. Pamiętam, jakim umocnieniem dla świadomości katolickiej inteligencji były w latach powojennych publikacje ks. Kazimierza Kłósaka, jednego z wybitnych profesorów Wydziału Teologicznego w Krakowie, które odznaczały się niezwykłą erudycją. Marksistowska filozofia przyrody spotykała się w tych wypowiedziach ze współczesną argumentacją, która w interpretacji przyrody pozwalała stale odkrywać ów Logos, czyli stwórczą myśl, ład i porządek. W ten sposób ks. Kłósak wpisywał się w tradycję filozoficzną trwającą od czasów greckich, poprzez Tomaszowe *quinque viae*, aż do współczesnych uczonych, jak Alfred North Whitehead.

Świat widzialny nie może stanowić naukowej podstawy interpretacji ateistycznej. Uczciwa refleksja znajduje w nim dość elementów prowadzących w stronę poznania Boga. W tym sensie interpretacja ateistyczna jest jednostronna i tendencyjna.

Pamiętam te wypowiedzi. Uczestniczyłem też w wielu spotkaniach z przyrodnikami, zwłaszcza z fizykami, których umysły po Einsteinie bardzo się otwały w stronę teistycznej interpretacji świata.

Ale, o dziwo, ta płaszczyzna sporu z marksizmem okazała się krótkotrwała. Wnet pojawił się człowiek i to on właśnie, wraz ze swoją moralnością, stał się *problemem centralnym w dyskusji*. Poniekąd zapomniano o filozofii przyrody. Nie tyle kosmologiczna interpretacja na rzecz ateizmu, ile argumentacja etyczna stała się dominantą. Kiedy napisałem książkę pod tytułem *Osoba i czyn*, pierwszymi, którzy na nią zwrócili uwagę, oczywiście, aby ją poddać

krytyce, byli marksiści: stanowiła dla nich niewygodny element w polemice z religią i Kościołem.

Ale skoro już doszedłem do tego punktu, to muszę Panu powiedzieć, że moje zainteresowanie osobą i czynem wcale nie zrodziło się na gruncie polemiki z marksizmem, a przynajmniej nie miało tej polemice służyć. *Zainteresowanie człowiekiem jako osobą było we mnie bardzo dawne*. Może pochodziło także z tego, że nigdy nie miałem szczególnego zamiłowania do nauk przyrodniczych. Człowiek interesował mnie zawsze: naprzód – na studiach polonistyki – jako twórca języka, jako temat literacki, a z kolei, gdy odkryłem drogę powołania kapłańskiego, zaczął mnie interesować jako *centralny temat duszpasterski*.

Było to już w czasie powojennym, kiedy rozgorzała polemika z marksizmem, a dla mnie najważniejszą rzeczą stali się młodzi ludzie, którzy przychodzili do mnie nie tyle z pytaniami o istnienie Boga, ale z *pytaniami o to, jak żyć*. Jak żyć, to znaczy jak znaleźć rozwiązanie dla problemów miłości i małżeństwa, a także dla problemów pracy zawodowej. To byli właśnie ci młodzi ludzie z okresu pookupacyjnego, którzy głęboko zapisali się w mojej pamięci, którzy swoimi pytaniami w pewnym sensie mnie wskazywali drogę. Z obcowania z nimi, z uczestniczenia w ich życiowych problemach, zrodziło się naprzód studium, którego treść zawarłem w tytule: *Miłość i odpowiedzialność*.

Praca na temat osoby i czynu powstała później, ale zrodziła się z tego samego źródła. Poniekąd nie można było do tego tematu nie dojść, skoro już się raz wkroczyło na obszar tych egzystencjalnych pytań człowieka, a myślę, że chodzi tu nie tylko o człowieka naszych czasów, ale poniekąd o człowieka wszystkich czasów. Pytanie o dobro i zło nie opuszcza nigdy człowieka, jak o tym świadczy ów ewangeliczny młodzieniec, który zapytał Jezusa: „Co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?” (Mk 10, 17).

Tak więc *genealogia moich prac skoncentrowanych na człowieku*, na osobie ludzkiej, jest przede wszystkim *duszpasterska*. Właśnie z perspektywy duszpasterskiej sformułowałem w książce *Miłość i odpowiedzialność* koncepcję *normy personalistycznej*. Norma per-

sonalistyczna jest próbą przetłumaczenia na język filozoficznej etyki przykazania miłości. *Osoba jest takim bytem, że właściwym do niej odniesieniem jest miłość.* Jesteśmy sprawiedliwi wobec osoby, jeżeli ją miłujemy – tak Boga jak, i ludzi. Miłość osoby *wyklucza traktowanie jej jako przedmiotu użycia.* Należy to do etyki kantowskiej i stanowi treść tak zwanego drugiego imperatywu Kanta. Jednakże ten imperatyw ma charakter raczej negatywny i nie wyczerpuje całej zawartości przykazania miłości. Jeżeli Kant tak mocno podkreślał, że osoba nie może być traktowana jako przedmiot użycia, to czynił to przede wszystkim po to, aby przeciwstawić się anglosaskiemu utilitaryzmowi. O ile jednak pod tym względem osiągnął swój cel, to nie można powiedzieć, żeby w pełni zinterpretował przykazanie miłości. Przykazanie miłości domaga się nie tylko wykluczenia wszystkiego, co jest traktowaniem osoby jako przedmiotu użycia – domaga się czegoś więcej: domaga się *afirmacji osoby dla niej samej.*

Pełną interpretację personalistyczną przykazania miłości znajdujemy dopiero w słowach Soboru: „Kiedy Pan Jezus modli się do Ojca, aby »wszyscy byli jedno [...] jako i my jedno jesteśmy« (J 17, 21–22), otwierając przed rozumem ludzkim niedostępne perspektywy, daje znać o pewnym podobieństwie między jednością osób Boskich a jednością synów Bożych zespolonych w prawdzie i miłości. To podobieństwo ukazuje, że człowiek będąc jedynym na ziemi stworzeniem, którego Bóg chciał dla niego samego, nie może odnaleźć się w pełni inaczej jak tylko poprzez bezinteresowny dar z siebie samego» (GS, 24). W tych słowach Soboru znajdujemy adekwatną interpretację przykazania miłości. A więc przede wszystkim jest tu jasno sformułowana zasada afirmacji osoby, ze względu na to, że jest osobą, czyli „jedynym na ziemi stworzeniem, którego Bóg chciał dla niego samego”. Równocześnie tekst soborowy podkreśla to, co jest najistotniejsze dla miłości, a mianowicie „bezinteresowny dar z siebie samego”. W tym znaczeniu osoba urzeczywistnia się przez miłość.

Tak więc te *dwa aspekty*: afirmacja osoby dla niej samej oraz bezinteresowny dar z siebie samego, nie tylko wzajemnie się nie wykluczają, ale się potwierdzają wzajemnie i w sobie zawierają. *Człowiek najpełniej afirmuje siebie, dając siebie.* To jest pełna reali-

zacja przykazania miłości. To jest równocześnie pełna prawda o człowieku, której Chrystus nauczył nas swoim życiem; prawda, którą potwierdza szeroko tradycja moralności chrześcijańskiej, jak również tradycja świętych i tyłu bohaterów miłości bliźniego w ciągu dziejów.

Jeżeli pozbawimy *ludzka wolność* tej perspektywy, jeżeli człowiek nie umie stawać się darem dla innych, wówczas ta wolność może okazać się niebezpieczna. Będzie to wolność czynienia tego, co ja sam uważam za dobre, co przynosi mi korzyść czy przyjemność, może nawet przyjemność wysublimowaną. Jednakże *nie przyjmując perspektywy daru z siebie samego, zawsze istnieje niebezpieczeństwo wolności egoistycznej.* To jest właśnie to niebezpieczeństwo, z którym walczył Kant. Poniekąd kontynuował to stanowisko Max Scheler i inni, którzy opowiadali się za etyką wartości, jednakże pełny wyraz tego znajdujemy po prostu w Ewangelii. Dlatego też w *Ewangelii zawiera się konsekwentna deklaracja wszystkich praw człowieka, nawet tych, które z jakichś powodów mogą być niewygodne.*

■ Pośród wspomnianych już „niewygodnych” praw człowieka na pierwszym miejscu znajduje się prawo do życia oraz obrona życia od chwili poczęcia. Również i ten temat powraca często – i to w tonie dramatycznym – w nauczaniu Ojca Świętego. Stałe piętnowanie ze strony Waszej Świątobliwości wszelkich form legalizacji przerywania ciąży zostało określone jako „obsesyjne” przez pewne kręgi polityczno-kulturowe, utrzymujące, że „racje humanitarne” są po stronie tych, którzy skłonili parlamenty do przyjęcia rozwiązań permissywnych w tej dziedzinie.

Prawo do życia jest dla człowieka *prawem najbardziej podstawowym*. A jednak pewien typ kultury współczesnej chce go zanegować, zamieniając go w prawo „niewygodne”, którego trzeba bronić. Nie ma innego, które by bardziej dotykało samego istnienia osoby! Prawo do życia, to znaczy prawo do narodzenia, a potem prawo do istnienia aż do naturalnej śmierci: „dopóki żyję, mam prawo żyć”.

Jednakże sprawa dziecka poczętego i nie narodzonego jest tutaj sprawą szczególnie delikatną i wyrazistą. *Legalizacja przerywania ciąży* jest to nic innego, jak uprawnienie dane człowiekowi dorosłemu, dane w autorytecie prawa stanowionego, ażeby mógł pozbawiać życia człowieka nie narodzonego, czyli tego, który nie może się bronić. Trudno pomyśleć sytuację bardziej niesprawiedliwą i *trudno tu naprawdę mówić o obsesji*, gdy wchodzi w grę podstawowy nakaz prawnego sumienia: to znaczy obrona prawa do życia ludzkiej istoty – niewinnej i bezbronnej.

Bywa, że sprawa ta zostaje postawiona jako prawo kobiety do *wolnego wyboru* wobec życia, które już w niej zaistniało, które ona nosi już w swoim łonie: miałyby mieć ona prawo wyboru między urodzeniem dziecka, czyli daniem życia, a odebraniem życia poczętemu dziecku. Każdy widzi, że jest to *alternatywa pozorna*. *Nie ma mowy o prawie wyboru wówczas, gdy chodzi o wyraźne zło moralne*, gdy chodzi po prostu o przykazanie: „Nie zabijaj!”

Czy przykazanie to nie przewiduje jakichś *wyjątków*? Odpowiedź jako taka brzmi: „nie”; hipoteza *śluszczej obrony*, która nie odnosi się

nigdy do niewinnego, lecz zawsze do niesprawiedliwego agresora, powinna respektować zasadę, którą moralisci nazywają: *principium inculpatae tutelae* (zasada *dopuszczalnej* obrony): żeby obrona była słuszna, powinna być podjęta tak, by wyrządziła najmniej szkód i o ile możliwości oszczędziła życie agresora.

W przypadku dziecka nie narodzonego o takiej sytuacji nie może być mowy. *Dziecko poczęte w łonie matki nie jest nigdy niesprawiedliwym agresorem!* Jest bezbronną istotą, która oczekuje na przyjęcie jej i na pomoc.

Trudno nie dostrzec, że w tej dziedzinie jesteśmy świadkami wielu ludzkich tragedii. Wielokrotnie *kobieta jest ofiarą męskiego egoizmu*. Często się dzieje tak, że mężczyzna, który przyczynił się do poczęcia nowego życia, nie chce wziąć za nie odpowiedzialności, zrzuca ją na kobietę, tak jakby ona sama była „winna”. Wtedy, gdy najbardziej ona potrzebuje oparcia w nim, on okazuje się cynicznym egoistą, który wykorzystał uczucie albo słabość kobiety, a z kolei nie chce przyjąć żadnej odpowiedzialności za swój czyn. Są to sprawy, o których wiedzą nie tylko konfesjonały, ale także trybunały całego świata, a dzisiaj coraz częściej także sądy dla nieletnich.

Tak więc *odrzucając stanowczo formułę „pro choice”* (za wyborem), należy odważnie opowiedzieć się za formułą „*pro woman*” (za kobietą), to znaczy za wyborem rzeczywiście opowiadającym się po stronie kobiety. Przecież to właśnie ona sama zapłaci największą cenę, nie tylko za swoje macierzyństwo, ale jeszcze bardziej za zniszczenie tego macierzyństwa, za odebranie życia dziecku, które się w niej poczęło. Jedyna postawa godziwa w tym wypadku to jest *postawa radykalnej solidarności z kobietą*. Nie wolno jej w tym wypadku osamotniać. Doświadczenia różnych poradni mówią o tym, że kobieta nie chce odbierać życia dziecku, które nosi w sobie. Jeśli ją się w tej postawie umocni, a równocześnie wyzwoli z egzystencjalnego zastraszenia w otaczającym ją środowisku, wówczas zdolna jest nawet do heroizmu. Świadczą o tym tak liczne poradnie, domy samotnej matki. Wydaje się, iż mentalność społeczeństw zaczyna dojrzywać we właściwym kierunku, chociaż wciąż liczni są jeszcze owi

pozorni „dobroczyńcy”, którzy chcą pomagać kobiecie, uwalniając ją od perspektywy macierzyństwa.

Tak więc znajdujemy się tutaj w punkcie, który jest – rzecz można – *newralgiczny* zarówno z punktu widzenia praw człowieka, jak i z punktu widzenia moralności lub duszpasterstwa. Wszystkie te aspekty ściśle się z sobą łączą. *To wszystko także połączyło się w moim życiu i posługiwaniu*, jako kapłana, potem jako Biskupa w diecezji, a wreszcie Następcy Piotra, z właściwym mu zasięgiem odpowiedzialności.

Dlatego muszę powtórzyć, że *kategorycznie odrzucam wszelkie oskarżenia lub podejrzenia dotyczące rzekomej „obsesji” Papieża w tej dziedzinie*. Tutaj chodzi o sprawę olbrzymiej wagi, w której wszyscy musimy wykazać największą odpowiedzialność i czujność. *Nie możemy sobie pozwalać w tej dziedzinie na permissywnizm*, który staje się prostą drogą do deptania praw człowieka, a także do niszczenia wartości, które są podstawowe, nie tylko dla poszczególnych osób, rodzin, ale także dla całych społeczeństw. Czyż nie jest smutną prawdą to, co zawiera się w mocnym wyrażeniu: *cywilizacja śmierci*?

Oczywiście, że przeciwieństwem cywilizacji śmierci nie może być program nieodpowiedzialnego mnożenia ludności na ziemskim globie. *Wskaźnik demograficzny musi być brany pod uwagę*. Właściwą drogą do tego jest to, co Kościół nazywa *odpowiedzialnym rodzicielstwem*. Kościelne poradnie życia małżeńskiego uczą tego właśnie. *Odpowiedzialne rodzicielstwo jest postulatem miłości człowieka, jest też postulatem autentycznej miłości małżeńskiej*, bo miłość nie może być nieodpowiedzialna. Jej piękno zawiera się właśnie w odpowiedzialności. Kiedy jest odpowiedzialna, jest też prawdziwie wolna.

To jest właśnie nauczanie, które przejąłem z Encykliki *Humanae vitae* mojego czcigodnego poprzednika Pawła VI, a przedtem jeszcze uczyłem się go *od moich młodych rozmówców, małżonków i przyszłych małżonków*, pisząc moje studium pod tytułem *Miłość i odpowiedzialność*. Jak powiedziałem, oni sami byli moimi wychowawcami w tej dziedzinie. Oni sami też, mężczyźni i kobiety, wnosili twórczy wkład w duszpasterstwo rodzin, w duszpasterstwo odpowiedzial-

nego rodzicielstwa, w różne kierunki poradnictwa, które się bardzo dobrze rozwinęły. Zasadnicza działalność tych ośrodków, ich praca była i jest zaadresowana do ludzkiej miłości: przeżywało się w nich i przeżywa *odpowiedzialność za ludzką miłość*.

Oby tej odpowiedzialności nigdy i nikomu nie zabrakło. Oby jej nie brakło ani prawodawcom, ani wychowawcom, ani duszpasterzom! Iluż osobom mało znanym pragnąłbym tutaj złożyć hołd, wyrazić najgłębszą wdzięczność za ich zaangażowanie, za ich poświęcenie nie oszczędzające siebie! To jest także potwierdzeniem tej chrześcijańskiej i personalistycznej prawdy o człowieku, który o tyle urzeczywistnia siebie, o ile umie stawiać się bezinteresownym darem dla innych.

Od poradni trzeba wrócić do *uczelni*. Mam na myśli uczelnie, które znam, oraz te, do których powstania się przyczyniłem. Mam na myśli w szczególności Katedrę Etyki na *Uniwersytecie Katolickim w Lublinie*, mam na myśli powstały tam – już po moim odejściu – Instytut, który prowadzą moi najbliżsi współpracownicy i uczniowie. Mam na myśli ks. prof. Tadeusza Stycznia oraz ks. prof. Andrzeja Szostka. Osoba nie jest tylko wspaniałą teorią. Znajduje się ona równocześnie w centrum ludzkiego *ethosu*.

A przechodząc do Rzymu, nie mogę nie wspomnieć Instytutu o analogicznym profilu, który został stworzony na *Uniwersytecie Laterańskim*. Instytut ten dał już początek podobnym inicjatywom w Stanach Zjednoczonych, Meksyku, Chile, Hiszpanii i w innych krajach. Trudno jest inaczej służyć sprawie odpowiedzialnego rodzicielstwa, jak ukazując jego podstawy etyczne i antropologiczne. W żadnej dziedzinie współpraca pomiędzy duszpasterzami a biologami i lekarzami nie jest tak nieodzowna jak tutaj.

A jeżeli chodzi o *współczesnych myślicieli*, nie mogę powstrzymać się od wymienienia przynajmniej jednego nazwiska. Jest to *Emmanuel Lévinas*, reprezentant szczególnego kierunku we współczesnym *personalizmie oraz filozofii dialogu*. Podobnie jak Martin Buber i Franz Rosenzweig, wyraża on tradycję personalistyczną Starego Testamentu, gdzie tak bardzo silnie uwydatnia się stosunek między ludzkim „ja” a Boskim, absolutnie suwerennym „Ty”.

Bóg, który jest najwyższym prawodawcą wypowiedział na Synaju z całą mocą to przykazanie: „Nie zabijaj!”, jako jeden z imperatywów moralnych o charakterze absolutnym. Lévinas, który podobnie jak jego współwyznawcy, głęboko przeżył dramat Holocaustu, daje temu wielkiemu przykazaniu Dekalogu szczególny wyraz. Oto osoba objawia się dla niego poprzez oblicze. *Filozofia oblicza* to także dziedzictwo Starego Testamentu, psalmów i ksiąg proroków, gdzie tyle razy jest mowa o „szukaniu Boskiego oblicza” (por. np. Ps 27[26], 8). Z kolei zaś oblicze, jako twarz ludzka, przemawia poprzez każdego człowieka, poprzez każdego skrzywdzonego człowieka, przemawia właśnie słowami: „Nie zabijesz mnie!”. *Ludzka twarz i przykazanie: „Nie zabijaj”*, skojarzyły się Lévinasowi w sposób genialny, stając się równocześnie świadectwem naszej epoki, w której zabijanie człowieka jest tak łatwo dekretowane także przez różne parlamenty, i to parlamenty demokratycznie wybrane.

Może tyle wystarczy na ten tak bardzo bolesny temat.

32.

■ *Totus Tuus, Cały Maryi* – oto motto Pontyfikatu Ojca Świętego. Odnowa teologii i pobożności maryjnej – w zgodzie zresztą z tradycją katolicką – jest następną cechą charakterystyczną nauczania i działalności Jana Pawła II. Między innymi, od pewnego czasu mnożą się doniesienia o tajemniczych objawieniach i orędziach Matki Bożej; rzesze pielgrzymów ruszają w drogę, jak w innych stuleciach. Co Wasza Świątobliwość mógłby nam powiedzieć w tej sprawie?

„*Totus Tuus*”... Formuła ta nie ma tylko charakteru pobożnościowego, nie jest wyrazem tylko dewocji, lecz jest czymś więcej. Muszę dodać, że przekonanie do takiego właśnie nabożeństwa, zrodziło się we mnie w okresie, gdy podczas drugiej wojny światowej pracowałem jako robotnik w fabryce. Przedtem zdawało mi się, że powinienem odsunąć się nieco od dziecięcej pobożności Maryjnej na rzecz chrystocentryzmu. Dzięki św. Ludwikowi Grignon de Monfort zrozumiałem, że *prawdziwe nabożeństwo do Matki Bożej jest właśnie chrystocentryczne, co więcej, jest najgłębiej zakorzenione w Trynitarnej tajemnicy Boga*, związane z misterium Wcielenia i Odkupienia.

Tak więc nauczyłem się na nowo Maryjności i ten dojrzały kształt nabożeństwa do Matki Bożej idzie ze mną od lat, a jego owocem jest zarówno Encyklika *Redemptoris Mater*, jak i List Apostolski *Mulieris dignitatem*. W odniesieniu do pobożności maryjnej każdy z nas musi być świadom, że nie chodzi tylko o potrzebę własnego serca, o pewną skłonność uczuciową, ale także o obiektywną prawdę o Bogarodzicy. Maryja jest nową Ewą, którą Bóg stawia wobec nowego Adama – Chrystusa, poczynając od Zwiastowania, poprzez noc betlejemskiego narodzenia, poprzez gody weselne w Kanie Galilejskiej, do krzyża na Golgocie, i z kolei do wiecznika Zielonych Świąt: Matka Chrystusa Odkupiciela jest Matką Kościoła.

Sobór Watykański II jest tutaj krokiem milowym, zarówno gdy chodzi o doktrynę, jak i nabożeństwo. Trudno cytować cały ten wspaniały VIII rozdział *Lumen gentium*, ale trzeba by tak uczynić. Uczestnicząc w Soborze, w tym rozdziale rozpoznałem się w całej pełni, odnalazłem wszystkie moje dawniejsze doświadczenia od lat